Nr. 17. Warszawa, dnia 12 (24) Kwietnia 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
Półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 30 (nowy).

WYRABIANIE PRZEKONAŃ

Pisząc poprzedni artykuł o *przekonaniach*, chcieliśmy wskazać na ich niezmierne znacznie a zarazem i na brak ich w naszem społeczeństwie, nie wchodząc głębiéj w przyczyny tego smutnego zjawiska i nie podając środków usunięcia go w przyszłości. Nie uleczymy atoli choroby, dopóki jéj źródła nie wyśledzimy, nie przekonamy ludzi o braku przekonań, dopóki nie wykryjemy zawad stawianych ich wyrabianiu i rozwojowi. Jeżeli społeczeństwo nie wie, że na drodze jego życia stoją przeszkody, jeżeli nie wie, jakiem się je chrzci imieniem, to wiecznie jak ślepy zawadzać się o nie będzie i jęcząc z bólu pozostawi je na danwem miejscu, ażeby po raz drugi i dziesiąty zrobić to bolesne doświadczenie. Uprzytomnijmy więc sobie jasno te spiżowe baryjery, bo mamy dość siły, ażeby je przewrócić albo dość roztropności, ażeby je obejść.

Dla czego brak nam przekonań? — bo nie mamy prawdziwego *życia społecznego*. A dlaczego nie mamy życia społecznego? — bo nas do niego *nie wychowano*. W téj ostatniéj odpowiedzi mieszczą się dwa pierwiastki, z których jeden zależy od okoliczności zewnętrznych... a drugi jest już naszym własnym, niedarowanym błędem, bo wypływa z fałszywego kierunku wykształcenia, czyniącego nas niezdolnemi do jasnego a światłego myślenia.

Cechą pierwotnego u nas wykształcenia jest *powierzchowność, urywkowość* i szkolarska *książkowość*. Dziecko w oznaczonym okresie czasu powinno tyle a tyle umieć, wyrecytować na pamięć, wydeklamować, wyliczyć królów i bohaterów, opowiedzieć bajeczki o jednych i drugich, wiedzieć że dwa razy dwa jest cztery, potrafić dodać, odjąć, pomnożyć i podzielić zupełnie mechanicznie bez zdawania sobie sprawy dla czego to jest tak a nie inaczéj, bez wnikania w przyczyny bez zastanowienia się nad tem, co jest rzeczywistością a co tylko urojeniem. Bardzo mało rzeczy sprowadzamy na grunt naturalny, bardzo mało dbamy o pokazywanie przedmiotów naocznie, zastępując ten konieczny pedagogiczny środek zakreśleniem na książce *ztąd—dotąd*. Wiele też dzieci żyje w urojeniach. Śmiało można powiedzieć, że mało kto, ucząc się np. *historyi rzymskiéj,* opowiedzianéj językiem poetycznym, pełnym przenośni i przesady, którym maluje się bohaterów staréj Romy jako jakichś półbożków chwilowo tylko przebywających na ziemi, wyobrażał sobie, że byli to ludzie tacy sami jak dzisiaj, że tak samo jedli, spali, chodzili w swoim czasie do szkoły, odbierali karę za nienauczenie się lekcyi, a potem dopiero otrzymawszy pewne stanowisko w narodzie dbali o jego dobro, walczyli przeciwko wrogom i t. d. i t. d. Owszem dziecko uczyło się jedynie wzniosłych ich czynów, a nie znajdując podobieństwa szczegółów do życia dzisiejszego takiego mianowicie, jakie jego dziecinnemu pojęciu odpowiada, albo nic nie myśli, starając się tylko wyryć w swojéj pamięci pewne określone dźwięki, albo też całe te dzieje przenosi do téj krainy ułudy w któréj uśmiechają się zaczarowane w szklanéj trumnie królewny do zjawiających się pięknych jak słońce królewiczów. W jednym i drugim razie skutki w rezultacie nie wiele się różnią od siebie, i jedno dziecko ma głowę zakutą a drugie rozmarzoną — a jasnych wyobrażeń jak nie ma tak nie ma. Dziecko nie nauczywszy się porównywać, dopatrywać podobieństwa i różnicy pomiędzy jednem zjawiskiem a drugiem, nie zdoła oczywiście wydać własnego zdania o danym przedmiocie, co zresztą przytłumianem bywa niezależnie od sposobu nauczania jako objaw szkodliwéj na przyszłość zarozumiałości.

Z takiem przygotowaniem wchodzi dziecko w sferę poważniejszej nauki, i błądząc po przestronnym gmachu matematyki, zapomina o życiu rzeczywistem, które mu kiedy niekiedy tylko jakiś praktyczniejszy przykład z arytmetyki na myśl przywiedzie. Młodzieniec wychodząc skończonym (!) człowiekiem ze szkół ma przed sobą dwie drogi: albo jest bogaty, i w takim razie straci niezawodnie kapitał zgromadzony przez przodków w renomowanych restauracyjach z poczciwemi koleżkami, albo przez niezaradność w życiu praktycznem zostawiając naukę tym którzy jéj potrzebują *dla chleba*, albo też, jeśli fortuna nie uśmiechnęła mu się w zaraniu życia musi pracować na chleb powszedni, nie znając ani warunków produkcyi, ani ustroju społeczeństwa, w którem działać mu przyszło, ani wyższych celów

ŚLADY ŻYCIA.

III.

Tyle życia, ile w czynie.

Zgadzamy się najzupełniéj ze zdaniem Przeglądu Tygodniowego, że nie tylko nowo powstające pisma, ale i te które na nowe wstępują tory, winny przedewszystkiem uzyskać prawo bytu—co więcéj, zgadzamy się i na to że dla uzyskania tego prawa wśród tylu innych wydawnictw, należy mieć przedewszystkiem odrębne od innych pole działalności, odrębny od innych sposób traktowania rzeczy. Właśnie w przeświadczeniu o téj głębokiéj prawdzie rozpoczynamy nową seryją wydawnictwa *Opiekuna,* nadajemy mu kierunek rodzinno-pedagogiczny i pragniemy opracowywać wprowadzone przez nas działy inaczéj aniżeli to czynią inne pisma. Czy kroki nasze na téj drodze będą prawdziwemi czy też fałszywemi, osądzą nasi czytelnicy w przyszłości.—*Przegląd* już nas osądził, utrzymując, że pierwszy nasz krok był *fałszywym.* Dla czego? „Chorujecie na wszechstronność, mówi *Przegląd,* chcecie prowadzić i fejleton *brukowy* (?) i powieścią zająć czytelników i pedagogią uprawiać. To za wiele. Obejmując wszystko nie obejmujemy nic." Święta prawda. Ale niemniej też jest prawdą, że ażeby być pismem tygodniowem popularnem, pisanem nie dla specyjalistów lub miłośników jednéj tylko nauki, potrzeba mieć i fejleton, choć nie koniecznie w tonie *Ech Warszawskich* trzymany, potrzeba i powieścią zająć czytelników, choć nie koniecznie od wszystkich innych jaskrawszą. Nie przeczymy że negatywny kierunek *Przeglądu* ma swoje dobre strony, tam zwłaszcza gdzie bezbarwność i tchórzliwość literacka na dobre się rozwielmożniły—nie przeczymy, że pismo w tym duchu prowadzone może mieć prawo bytu—ale nie mniéj, sądzimy, że takie jedno pismo, nawet na 35 innych wystarcza i dla tego właśnie nie myślimy z Przeglądem „śpiewać *unisono.*" Przegląd przeważnie zajmuje się rozbiorem stron ujemnych—my chcemy przedewszystkiem dobre strony wyświecać i popierać. Przegląd przeważnie burzy wszystko co zdaniem jego na burzenie zasługuje—my chcemy przeważnie budować to co nam się dobrem wydaje i na co siły nasze starczą.—Możemy więc bezpiecznie istnieć obok siebie i dawać sobie jak najczęstsze rady, byle tylko, jak to właśnie uczynił Przegląd w ostatnim numerze, zalecając kierunek *pedagogiczny, bez odcinków i powieści* nie stawiać za przykład niemieckiego *Gartenlaube* i francuzkiego *Journal pour tous,* bo pisma te, reprezentując głównie *powieść* i w ogóle treść *różnostronną,* w żaden sposób za wzór, jaki nam *Przegląd* widzieć w nich każe, służyć nie mogą.

* * *

Niwa w artykule zacną natchniętym myślą (Nr. 8) p. n. *Działalność naukowa prawników naszych,* wystąpiła energicznie przeciwko strupieszałości téj bardzo licznéj klasy naszego społeczeństwa i stawiając za przykład wzorowe krzątanie się na polu nauki lekarzy, podaje myśl zorganizowania pracy prawniczéj na pożytek ogółu. „Dwa ostatnie pokolenia prawników, powiada *Niwa,* legły w grobie prawie nic dla kraju i nauki jego nie zdziaławszy," gdy tymczasem lekarze zawiązali towarzystwo, wydają kilka pism, ogła-

o których zawsze myśleć powinien, jeśli tylko zechce być pożytecznym tego społeczeństwa członkiem. Jeden jest marnotrawcą albo niedołęgą a drugi wyrobnikiem; obu nauka szkolna nie pokazała drogi właściwego a skutecznego działania, bo nie miała na uwadze życia praktycznego, jego praw, wymagań i dążności, ale tylko sferę oderwanéj nauki.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że nauka przeszkadza wyrabianiu się przekonań; owszem, do nauki wszelkiéj z całych sił naszych zachęcamy; ale wyrazimy tę tylko uwagę, że oderwana nauka jedynie sama w sobie zatopiona, bez żadnego względu na zastosowanie praktyczne, bez przejęcia się potrzebami społecznemi i celami, jakie w danym czasie wszystkie umysły zajmować powinny, słowem że wykształcenie czysto książkowe, jakkolwiek może wytworzyć w człowieku bardzo silne przekonanie *naukowe*, nie zdolne jest do wyrobienia tych przekonań, o które przedewszystkiem nam teraz idzie, przekonań prowadzących na drogę energicznego działania. Przykładów na to dostarcza nam bardzo obficie dotychczasowa historyja, że wspomnę tylko Kanta filozofa, Lelewela historyka, obu znakomitych a obu w najwyższym stopniu niepraktycznych. Na wyspie wiecznéj szczęśliwości można zapewne założyć ręce i zwiesiwszy głowę dumać swobodnie o niezgłębionych zagadnieniach wszechświata, ale takiéj wyspy dotąd jeszcze nie odkryto; żyjemy wśród śmiertelnéj walki o byt, wśród wyścigujących się ustawicznie czynów, wśród drobnostek i wielkich wypadków rzeczywistości. Kto chce działać, kto chce zwyciężyć, musi się rzucić w ten chaos życiowy i starać się jasno sobie drogę wykreślić; kto chce żyć praktycznie, musi być jak najpraktyczniéj wychowany. Zostawmy więc szerokie pole dla nauk, w wychowaniu naszem, tylko starajmy się je zawsze do życia praktycznego jak najbardziéj zastosować.

Z drugiéj strony należy nam znacznie ograniczyć zakres wpływu, jaki belletrystyka na umysły nasze wywiera. Nauki bowiem są systematycznym wykładem pewnych wyobrażeń i pojęć, i przez to zmuszają każdego do jasnego i ścisłego rozumowania, do wyraźnego formułowania swych myśli, belletrystyka zaś, będąc swobodnem zestawieniem najróżnorodniejszych szeregów kojarzenia się wyobrażeń, może częstokroć do fantazyjowania i marzycielstwa pobudzić, co w każdym razie na przekonania nasze działa szkodliwie. Prawda, że z ogniska poezyi może nieraz wyskoczyć błyskawica natchnienia, która całym naszym organizmem wstrząśnie i do szlachetnych czynów pobudzi; ale też nieraz zrobi z człowieka kwilące bez przestanku dziecię, niezaradne stworzenie, lub błędnego rycerza sentymentalizmu. Romans społeczny może przedstawiać w jaskrawych barwach złe toczące zdrowy organizm ułatwiając przez to znajomość warunków życiowych, ale również może wprowadzić na bezdroża fantastycznych utopij. Młodzież pochopna do wiedzy, nie ugruntowawszy przedtem swych przekonań na stałych podstawach naukowych, chwyta się bardzo skwapliwie najekscentryczniejszych wyobrażeń, byle tylko nie potrzebowała ich sprawdzać i udowadniać. Łatwiej i lżéj przeczytać tysiąc romansów aniżeli udowodnić choćby jedno twierdzenie naukowe. W pierwszym razie trzeba tylko roztworzyć szeroko podwoje dla zwykłego kojarzenia się wyobrażeń, w drugim zaś należy skupić całą uwagę na jeden punkt, należy swoje siły umysłowe wytężać i trudzić. W utworach belletrystycznych nader rzadko dochodzi się do jakiejś jasno sformułowanéj zasady, którąby myśl naszą na nowe popychała tory, bo nie są one i być nie mogą szeregiem rozumowania, ale panoramą najbarwniejszych obrazów, które podobają się umysłowi naszemu właśnie dla tego, że go nie krępują i nie przywiązują do jednego tylko wyobrażenia. U nas utwory te zbyt wielkie w stosunku do nauki znajdują rozpowszechnienie, i jakkolwiek wielka ich zasługa leży w tem, że stają się zachętą do czytania, to przecież niepodobna powiedzieć na ich pochwałę, żeby do wyrobienia jasnych i zdrowych przekonań wielce się przykładały. Nauka tylko jest posilnym pokarmem duchowym; belletrystyka przynajmniéj taka, jak ją u nas pojmują, może być mniéj lub więcéj—stosownie do wykształcenia czytelników—przyjemną rozrywką. I tu więc napotykamy ten sam żywioł, (powierzchowność i urywkowość) który w wychowaniu początkowem jako zgubny wytknęliśmy.

Przekonania najlepiéj i najprędzéj wyrabiają się w gwarze życia codziennego. U nas i to oczywiście jest nie możliwem, z przyczyn wychowania już poprzednio wskazanych i innych, których dopatrzyć się łatwo każdemu w zewnętrznych okolicznościach. Zejdą się ludzie, o czemże mówią ze sobą? Jeżeli to są mężczyźni, to rzecz pójdzie najprzód o wielkiéj polityce, a potem o miłych wszystkim skandalikach. „Ze wszystkich rozmów politycznych, mówi bardzo słusznie p. *Baudoin*[1]) żadnego rezultatu wyciągnąć niepodobna. Sprzeczają się *namiętnie*, dochodzą do obrazy osobistości, a prawdy jak nie ma, tak nie ma, co więcéj zdania sprzeczne jeszcze bardziéj się rozszczepiają. A to dlatego dodaje, że nie stawia się tu wcale *swych zasad* (bo ich zapewne i nie ma), i każdy mędrkuje na podstawie *uprzedzeń*, będących jego własnym, albo nawet *cudzym wyrobem*: nie rozumieją rozwoju dziejowego, a chcą wyrokować o losach narodów." O rozmowach, których osią obrotową jest skandal albo awantury miłosne, można tylko tyle powiedzieć, że w nich ludzie źli w życiu, chcą jeszcze gorszemi wydać się w słowie, ażeby słuchająca gawiedź, miała wielkie wyobrażenie o ich sprycie, przebiegłości i rozumie. Jeżeli rozmawiającemi są przedstawicielki płci pięknéj, to przedewszystkiem zajmują się niewinnemi lub winnemi ploteczkami a potem obszernem traktowaniem tak ważnego o losach narodu stanowiącego przedmiotu, jakim są stroje. Cały z nich dochód obraca się na korzyść modniarek, a na ubytek pieniędzy ze szkatułki ojca lub męża.

[1]) *F. B. Kwieta*. Popularna nauka wychowania. Przekład p. Baud. 1865 w przedmowie str. II.

---

szają *Bibliotekę umiejętności lekarskich*, liczącą dzisiaj przeszło 900 arkuszy druku. Surowem również słowem odzywa się o profesorach b. Szkoły Głównej, którzy w przeciągu lat 7 wydali zaledwie jeden przewodnik do prawa rzymskiego, jeden do prawa karnego, tłómaczenie Encyklopedyi umiejętności politycznych Mohla i kilkanaście broszurek i artykułów. Dla przerwania téj smutnéj drzemki ducha proponuje Niwa założenie *Towarzystwa prawników* na wzór Towarzystwa lekarskiego. Wydawanie czasopisma, wyznaczanie konkursów, zbogacenie literatury prawniczéj, a nadewszystko wzajemna zamiana myśli, wpływająca na uszlachetnienie umysłów — oto byłyby najważniejsze korzyści, jakieby wyniknąć mogły z dobrze uorganizowanego Towarzystwa. Czy projekt ten znajdzie uznanie, i czy prędko przyjdzie do skutku, nie wiemy. Tak powszechne u nas lenistwo z jednéj, a koteryjność z drugiéj strony, zapewne stawiać mu będą liczne do zwalczenia przeszkody, tak jak to miało miejsce z proponowanem przed kilku laty *Towarzystwem literatów* które miało już nawet zapewniony fundusz a przecież dotąd nic a nic o niem nie słychać.

* *
*

W ostatnich dniach Marca ukończył się w Krakowie druk pierwszego tomu *Biblijografii polskiéj XIX stulecia*, dzieła nadzwyczaj ważnego dla historyi naszéj literatury. Tom ten obejmuje od lit. *A* do *F*, a ilość druków tu wymienionych wynosi 10,008. Prenumeratorów ma dotąd 198, z tych 35 przypada na Galicyję, 45 na Kraków, 13 na Poznańskie a reszta t. j. *115 na Warszawę*.

* *
*

P. *Gasiorowski* profesor gimnazyum w Tarnowie drukuje obszerną książkę o *Mickiewiczu* do r. 1829.— P. *Belcikowski*, który wykłada w Muzeum przemysłowem w Krakowie rzecz o literaturze XIX wieku opracował szczegółowo *Epokę Mickiewicza*; z pracy téj *Wieniec* pomieścił wyjątki w Nr 3—10.

* *

Myśl urządzania od czasu do czasu odczytów popularnych dla subjektów handlowych wyznania mojżeszowego, powstała w łonie samego stowarzyszenia, ze wszech miar zasługuje na silne poparcie ogółu. Z przyjemnością też widzieliśmy salkę Towarzystwa Dobroczynności przepełnioną słuchaczami na ostatnim odczycie p. Diksztejna *O powietrzu, cieple i świetle*. Prelegent nie zawiódł słuchaczów, odczyt jego bowiem pełen był zajmujących szczegółów, popularnie i gładko wypowiedzianych. Język prelegenta był poprawny, co jak w tym razie na szczególną zasługuje pochwałę. Należałoby tylko więcej ograniczać treść odczytu, gdyż znaczna liczba szczegółów zwłaszcza przy szybkiem czytaniu jak to właśnie miało miejsce w odczycie p. Diksztejna—uchodzi uwagi słuchaczów zbyt mało przysposobionych do ujęcia sumarycznych streszczeń i obliczeń z kilku działów nauki. W ogóle panuje u nas błędne przekonanie ze ażeby nieznudzić słuchaczów, i być dla nich przystępnym, potrzeba wybierać temata jak najogólniejsze, jak najobszerniejsze. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Temata ogólne mogą być i zajmujące i nauczające ale tylko dla tych którzy pod ogólniki prelekcyi, słuchając ich, są w stanie podłożyć treść szczegółową faktyczną. Przeciwnie dla niespecyjalistów tylko szczegółowy wykład pojedynczego przedmiotu może być zrozumiałym i nauczającym. Sądzimy też że słuchacze p. Diksztejna więcej by z odczytu zapamiętali, gdyby się był ograniczył na opisaniu własności powietrza tylko, albo samego ciepła, albo wreszcie samego światła. Odczyty dla subjektów handlowych, jeśli mają większości przynieść pożytek, nie mogą być brane na miarę zwykłéj prelekcyjnej publiczności. W każdym razie życzymy stowarzyszeniu więcej tak dobrych odczytów, jak ostatni, p. Diksztejna.

Sprawozdanie z następnego odczytu p. Eugienijusza Dziewulskiego Mag. Nauk Mat.-Fiz.: *O elektryczności*, podamy w przyszłym numerze.

* *

Gdybyśmy nie wiedzieli że tak nie jest

Jeżeli się zejdzie towarzystwo mięszane z tem zastrzeżeniem, że się tańczyć nie będzie, to po załatwieniu wiadomostek brukowych, starsi pójdą do preferansa, a młodsi podzielą się na dwie grupy: tych, którzy milczą i tych którzy się bawią *dowcipkowaniem*, grą na fortepianie i rozmową o teatrze i o romansach. Jestto oczywiście przelewanie wody przez sito... Żadnej wyższej zamiany myśli być nie może, bo żywioły składające towarzystwo nie mają *w sobie* samych odpowiednich na ten cel materyjałów. Z błyskotek wielkie rzeczy się nie rodzą; kokardka może bardzo pięknie ubierać, ale nie stanie się chorągwią, pod którą zawiązałaby się walka o zasady i przekonania.

Resursy oprócz dostarczania smacznych lub niesmacznych objadów i sali do tańca, służą zwykle za pole popisów preferansowych, zrzadka tylko dając miejsce nielicznie uczęszczanym odczytom. Stowarzyszenia rożnego rodzaju wegetują ale nie żyją; ustaliwszy raz swój porządek, nie lubią kontroli i wszelką opozycyję, wszelkie żądanie zmian uważają za objaw dziecinnej zarozumiałości. W takim stanie rzeczy, jakim sposobem wyrabiać się mogą przekonania?

Potrzebujemy reformy i to reformy całkowitej, od dołu do góry, od dziecka do dorosłego człowieka. Dokonać jej w naszej jest mocy. Potrzeba tylko:

W wychowaniu i wykształceniu początkowem dziecka zarzucić zdawien dawna praktykowany a zardzewiały już mechanizm, rozwijając w niem harmonijnie rozum i uczucie, zmuszając do wydawania własnego sądu o każdym przedmiocie, który dobrze *naocznie* pozna; a zatem zaprowadzić o ile możności system *okazowy* zamiast *opowiadającego*, doświadczalny zamiast apryjorystycznego. Dziecko nauczywszy się zawczasu myśleć samodzielnie, w dalszem życiu okazywać będzie jasność i siłę przekonań.

W wykształceniu młodzieży jak najmocniej zaakcentować kierunek praktyczny, wprowadzić do nauki szkolnej wykład najważniejszych zasad ekonomii i prawa, obowiązków i w ogóle wszelkich stosunków społecznych, przyczem większe rozpowszechnienie umiejętności ducha ludzkiego tj. psychologii nadzwyczaj ważną odgrywać musi rolę. Młodzieniec poznając życie, pomyśli o niem na seryjo a przekonawszy się, że społeczeństwem rządzą stałe prawa, postara się o zgodne z niemi działanie i nie zmarnuje swych sił i zdolności na ślepe rozpędy dla przekroczenia granic niemożliwości; przekonawszy się, że ten tylko w walce o byt zwycięża kto ma siły po temu, i że siła ta w znacznym stopniu nadać mu może stałe i jasne przekonanie o kierunkach i celach społecznej działalności, nie zechce być zeręm albo lwem salonowym.

W rozmowach poruszać kwestyje, mające interes ogólniejszy, zarówno z dziedziny umiejętności jak i życia społecznego; nie ziewać i nie zasypiać nad książką treści poważniejszej, ograniczyć grę w karty; mniej się zajmować losami Julci lub Antoniny a większą obdarzać łaskawością naukowe badania, które u nas mają garstkę zaledwie, poświęconych sobie zwolenników.

Nakoniec potrzeba urządzić systematyczne odczyty, mniéj zajmujące się literaturą piękną, a więcej popularnem przedstawieniem rezultatów pewnej nauki zwłaszcza z dziedziny nauk społecznych. Odczyty takie t.j. szereg ich, złączony w jedno spólnością treści, stanie się przedmiotem rozmów, zainteresuje bezwątpienia ogół, który nie dla tego może okazuje obojętność do rzeczy wyższych, żeby ich poznać nie pragnął, ale dla tego, że nie ma odpowiedniej sposobności dowiedzenia się o nich. Jeżeli społeczeństwo takim przejmie się duchem; jeżeli przeniesie liczbę godzin poświęcanych zabawie na nabycie korzystnych wiadomości naukowych i odwrotnie; jeżeli w ten sposób wyrobione przekonania potrafi w szatę czynu przyoblec, to o pomyślnej jego przyszłości niepodobna będzie powątpiewać.

DRUGA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy*).

— A teraz trzeba zejść na dół na herbatę, pomyślała ze smutkiem Sybilla by słuchać długich historyi handlowych. To okropne.

Podczas gdy zastanawiała się nad tem, czyby nie było lepiej udać ból głowy i zostać w swoim pokoju, doszedł jej ucha dźwięk głosu, który obudził silne uderzenie serca. To nie podobna! to nie pan Dermot rozmawia z ciotką. A jednak nikt inny nie mówi takim głosem, pełnym słodyczy i siły. Drżąca z niepewności i wzruszenia, zeszła Sybilla po schodach, starając się przybrać najspokojniejszą postawę.

Był to w istocie Dermot. Siedział i rozmawiał z panną Glyn jeżeli niezupełnie po przyjacielsku, to przynajmniej uprzejmie. Skłonił się z uśmiechem Sybilli ale nie przerwał rozmowy.

— Widzi więc pani,—mowił — dążą do tego, żeby zabrać jak najwięcej towaru który pani przesyła na próbę, a potem wstrzymać wypłatę.

— To szkaradnie!—krzyknęła panna Glyn z uniesieniem.

— Niepięknie, rzeczywiście.

— Ale cóż ja mam robić z mojem masłem! zapytała oburzona panna Glyn; — nie mogę im zostawić na łup tylu fasek!

— Trzeba się dobrze zastanowić, interes niełatwy—rzekł poważnie Dermot opierając podbródek na ręku. — Czy nie mógłbym przejrzeć papierów pani?

— Owszem, owszem, żwawo odpowiedziała miss Glyn. Sybillo przynieś je z kantoru, albo nie, nie wiesz gdzie szukać. Ja sama pójdę.

Wstała i wyszła z pokoju. Sybilli wystąpiły na twarz rumieńce z radości i pomię-

---

moglibyśmy posądzić Towarzystwo Dobroczynności że niedba zupełnie o dochód z odczytów jakie na korzyść ubogich podejmują łaskawi prelegenci. Jeśli odczyt ma się odbyć w niedzielę w południe, to napewno ogłoszenie o nim zrobione będzie nie prędzej jak w sobotę wieczór. Cóż dziwnego że wiele osób, tego właśnie dnia gazet nieprzeczytawszy wcale nie wie o odczycie, albo też dowiedziawszy się zapóźno, nie może już zmieniać porządku czynności dziennych jakie sobie zwykle z góry wyznaczamy, i na odczyt zbiera się, jak np. w zeszłą niedzielę osób 35—wyraźnie trzydzieści pięć razem z Członkami Towarzystwa. A właśnie odczyt p. Wiktora Kosmowskiego, który mamy na myśli, należał bez zaprzeczenia do najpożyteczniejszych i najsumienniej opracowanych. Prelegent mówił o znaczeniu higieny i dyjetetyki, o ich wpływie na zdrowie i szczęście społeczeństw, popierając pełne słuszności zdania wymownemi cyframi. Przystąpił następnie do szczegółowego rozbioru warunków jakim odpowiadać winny pokarmy, mieszkania, powietrze w którem żyjemy, wreszcie rozszerzył się bliżej nad higieniczną i dyjetetyczną stroną pierwotnego wychowania dzieci. Pełne treści i praktycznej doniosłości zdania szanownego prelegenta dochodziły do uszu 5-ciu wyraźnie *pięciu* kobiet. Kiedy jest mowa o stosunkach Wiktora Hugo z aktorkami paryzkiemi nasze panie zbierają się na odczyt w liczbie 100 na 20 mężczyzn, gdy zaś mowa o środkach jakie podaje nauka w celu pielęgnowania i wychowywania dzieci nie przychodzą nawet w stosunku 20 na 100. Oto jak nasze panie pojmują emancypacyję.

* * *

Czeskie czasopismo „Osvěta” pomieściło wielce zajmujące studyjum p Staszka (Stašek) p. t. „Juljusz Słowacki i jego epoka.” Autor widocznie dobrze z piśmiennictwem naszem znajomy, za najwyższe utwory genialnego poety uważa *Balladynę* i *Ojca Zadżumionych*. Ten ostatni poemacik jest już przełożony na język czeski przez Jarosława Golla i umieszczony w innem piśmie pragskiem p. n. „Světozor” z roku 1869. Studyum p. Staška zjednało sobie pochwały innych pism czeskich, a nawet włoskie pismo „*Il Nazionale*” wspomniało o niem nazywając: „un accurato studio sul grande poeta pollaco Slowacki.” Nasze pisma niemal zupełnie o czeskich nie wspominają, i w ogóle z ruchem książkowym pokrewnych nam narodów, z umysłu czy z lenistwa, zapoznawać nas niechcą. Jedna tylko *Niwa*, której i z tego względu należy się uznanie rozpoczęła traktować rzeczy słowiańskie, a jak sądzimy i nadal działu tego zaniedbywać nie będzie. Wstyd nam że o tych z wielu względów tak bliskich nas sprawach, mniéj nierównie wiemy, aniżeli o konszachtach zachodnich polityków, którym pisma nasze wytrwale służyć nie przestają, często z uszczerbkiem dla spraw bliższych i najbliższych. Z tego też względu zasługują na uznanie listy z Czech pomieszczane od pewnego czasu w Gazecie Polskiej i pisane widocznie ze znajomością rzeczy. Pismo „Osvěta” jest wybornie prowadzonem, treść jego żywotna i pożywna o wiele przewyższa inne tego rodzaju wydawnictwa. W ostatnim numerze mieści się między innemi bardzo dobry artykuł Dra Studniczka: „O niektórych zasadniczych na świat poglądach”. „O mniemanym upadku filozofii” przez Dra Józefa Durdika, młodego profesora który niedawno objął w Pradze czeskiej katedrę filozofii i którego Psychologia dla szkół (Psychologie pro školu 1872) świeżo wyszła z druku. A obok tego poezyja, powieść, przeglądy literackie, studyjum „O wszechsłowiańskim języku i piśmie” M. Hattala i inne drobniejsze utwory. Niezdarzyło nam się dotychczas w pismach naszych spotkać z przekładem poważniejszej pracy w języku czeskim napisanej, a jednak o wybór byłoby wcale nie trudno.

* * *

P. Lucyjan Malinowski Mag. N. filol.-hist. przygotowuje do druku „Modlitwy króla Wacława” opracowawszy je krytycznie ze stanowiska historyi języka; jest to ciekawy zabytek polszczyzny z XV wieku wykryty

szania. Nietylko jego obecność ją cieszyła ale i pewność że Dermot jej przyjaciel, nigdyby nie wszedł nieproszony do domu jej ciotki—że tylko Dermot jej kochanek, mógł to zrobić dla tego żeby ją zobaczyć. Siedząc przy oknie mogła wyglądać bez zdradzenia się. Księżyc wszedł i oświecał krajobraz który półgodziny temu wydał się jéj tak brzydkim. O, jakże się zmienił! Czy to srebrzyste światło księżycowe odbijające się w rzece taką zmianę sprawiło w oczach Sybilli?

— Sybillo,—rzekł Dermot po chwili—nie masz mi pani nic do powiedzenia?

Przystąpił do niej z wyciągniętą dłonią—Sybilla podała mu swoją i obróciwszy się ujrzała rozumną i uśmiechającą się twarz Dermota.

— Cieszę się że pana widzę wyjąkała. — Nie liczyłam na to.

— Zawdzięczamy zmianę jaka zaszła, pani Kennedy — rzekł przysuwając krzesło.—To zmusiło mnie do całotygodniowéj ciężkiej pracy. Trzeba mi było dobrze zgłębić stan interesów panny Glyn, a szczęściem dla mnie, interesa te są w bardzo złym stanie. Tak więc zdobyłem twierdzę tę i oszukałem panią Kennedy.

W żywych jego szarych oczach, błyskało jakieś złośliwe światełko, triumf, który nieco przeraził Sybillę. Odbiło to się to w jej spojrzeniu. Owa dziewczęca lękliwość podoba się w ogóle mężczyznom, dając im poczucie przewagi i pragnienie poświęcenia swojej siły na usługi ulubionej. Dermot z zachwytem spojrzał na zarumienioną twarz Sybilli i jej spuszczone oczy, ale nie zrobił żadnej alluzyi do uczucia, które zmianę w twarzy Sybilli wywołało.

— Opactwo teraz bardzo posępne po wyjeździe pani rzekł — teraz spostrzegam, żeś pani głównie je ożywiała. Nawet Narcyz do tego samego doszedł wniosku, gdyż powiada, że panienka była jak motyl, wszędzie jéj było pełno, a śpiewała tak wesoło!—teraz tak cicho!

— Lepiej więc, że mnie nie ma w domu, skromnie rzekła Sybilla — zresztą pani Kennedy ma piękny głos i chętnie śpiewa — lubi duety—dodała z błyskiem w czarnych oczach.

Dermot zarumienił się.

— Wspominasz Pani te czasy — rzekł z wymówką — więc i ja pójdę za jéj przykładem. Często gdy śpiewaliśmy, spoglądałem z uwielbieniem na młodą przysłuchującą się panienkę, siedzącą na stronie i tak wspaniałomyślnie pyszniącą się ze swojéj przyjaciołki że aż w sercu lubo było. Cóż to pani? dodał widząc łzy w oczach Sybilli.

— Nie mogę się powstrzymać! — rzekła gwałtownie, — o, jakże ją kochałam! jak jéj wierzyłam!—jak szlachetną istotą była w moich oczach! — a teraz wszystko to minęło— i samo wspomnienie jest udręczeniem.

— Oto są — rzekła miss Glyn wchodząc z pełnemi rękami papierów—ale sądzę, że lepiéj będzie wprzód wypić herbatę.

Dermot tegoż samego był zdania, zabrała się więc Sybilla do nalewania. Po wieczerzy zostawiono Sybillę saméj sobie, bo zadanie Dermota nie było fikcyją, i musiał długo wraz z panną Glyn rachować i kombinować. Nie smuciła się jednak, siedząc przy oknie rozkoszowała się naprzemian widokiem okolicy oblanéj światłem księżycowym która jéj teraz Edenem się wydała, i jasnéj ciepłéj przestrzeni pokoju.

— Takie szczęście mogłoby na zawsze wystarczać—myślała Sybilla.

Mogłoby, gdyby pierwszy zapał takich uczuć mógł trwać całe życie.

ROZDZIAŁ XVI.

W ogrodzie panny Glyn stała mała altanka i w niéj na drugi dzień rano zasiadła Sybilla z robotą na kolanach.

Ustronie było miłe, czas rozkoszny. W zielonych gałęziach wysokiego drzewa, obok niéj zjawił się kos i zaczął śpiewać. Słuchając go Sybilla przypomniała sobie starą irlandzką legendę o pobożnéj dziewicy, która wyszedłszy rano w dzień letni modlić się w ogrodzie ojca, usłyszała śpiew kosa, trzykrotnie się powtarzający, a tak piękny, że żaden śmiertelnik nigdy nic podobnego nie słyszał. Za każdym śpiewem sto lat upłynęło, a gdy ustał, dziewica wróciła do domu i znalazła inną wieś i lud zmieniony, który jéj nie poznał. Opowiedziała swoje zdarzenie, a starzy ludzie przypomnieli sobie dawne podanie o jéj młodych latach. A jednak czyż mogła być tą samą, wyglądając jeszcze świeżo, pięknie i młodo jakgdyby jéj ręka czasu nie tknęła?

Przygoda jéj była jednak prawdziwą, bo gdy podano jéj pożywienie, zaledwie dotknęła się go ustami straciła młodość i piękność, w jednéj chwili zamieniła się w sędziwą staruszkę, padła i zakończyła życie. W raju spędziła trzy wieki, nie mogła więc już żyć na ziemi.

— O kosie, nie pociągaj mnie do raju! —myślała Sybilla spoglądając na drobnego śpiewaka na gałęzi. — Nie chcę teraz ziemi opuszczać. Jestem młoda, mówią żem ładna, a może i kochana, nie chciałabym mu wracać z trzystu latami więcéj i znaleźć zapomniane groby tych, których kochałam.

Kos odpowiedział na to świetnym trylem. Nie był on niebiańskim ptakiem, bo ziemską swoją konwersacyję, skierował ku swéj bogdance, w czem rad był go naśladować pan Dermot, zjawiający się nagle w alei która wiodła do altanki. Z twarzy jego można było czytać. Mis Glyn powiedziała mu wczoraj że jedzie do Saint-Vincent chciał więc skorzystać z téj wiadomości.

— Ciotka wyjechała—rzekła Sybilla.

— Wiem o tem; ale ja też pragnę z panią mówić, nie z panną Glyn.

Siadł przy niéj w altanie. Głos miał smutny, wzrok poważny. Serce Sybilli się ścisnęło. Co za nowe zmartwienie?

— Mówiłem dziś z ojcem pani. Przewidywanie moje spełniło się. Ta kobieta prawie bez żadnego wysiłku zrobi nas nieprzyjaciołmi. Ojciec pani trochę wié, trochę podejrzywał przeszłość i ztąd na wpół mnie nienawidzi, na wpół się boi. Ażeby nas rozłączyć przeniósł panią tutaj. Niech mu Bóg przebaczy, jeżeli myśli że ja na jego żonę spoglądałem zdradzieckiem okiem. Sybillo, ja panią kocham i pani wiesz o tem i wierzysz mi ale on wątpił choć mu to powiedziałem. Robił co mógł żeby wykręcić się od zezwolenia, dał je w końcu, dla tego tylko że nie śmiał

---

przed niedawnym czasem przez zmarłego archeologa Al. Przezdzieckiego. Praca p. Malinowskiego wyjdzie z druku w Rocznikach Poznańskiego Tow. Przyj. Nauk i w osobnych odbitkach.

* * *

„Przeznaczeniem człowieka jest żyć na to ażeby jeść i spać" tak pojmował swe obowiązki społeczne p. Kasper Bolbecki. Ale p. Kasper Bolbecki (p. Żółkowski) miał jeszcze drugą dobrą stronę— gdy się najadł wyśmienicie a nie mógł spać zdawało mu się że jest niebezpiecznie chorym—a gdy wyspawszy się nie mógł zjeść więcej nad parę kapłonów, faskę bigosu i pół melona, wówczas był najmocniej przekonanym, że wkrótce już ostatnie siły go opuszczą. Szczęściem w tych czasach właśnie przybył do okolicy w której się rzecz odbywa nowy doktór p. Rzeszko z Tarnowa (p. Krogulski); Bolbecki postanowił zasięgnąć jego rady. Pani Małgorzata (p. Figarska) (żona Bolbeckiego) i Anusia ich córeczka (p. Szymanowska) oczekują tedy przybycia doktora. Zajeżdża powóz i młody gość wbiega do salonu. Roztropny Waluś (p. Damse) bierze przybysza za oczekiwanego doktora i nie pytając więcej daje znać Bolbeckiemu że Dr. przyjechał. Tymczasem młodym gościem był Zdzisław Morzycki, Inżynijer konkurujący o rękę Anusi. Młodzi znalazłszy się sami wkrótce się porozumiewają, ale Anusia oznajmia kochankowi że ojciec postanowił ją wydać tylko za doktora medycyny. Nowe strapienie. Inżynijerowi jednak przychodzi myśl szczęśliwa. Dr. Rzeszko jest jego przyjacielem, a ponieważ już mimowoli zaanonsowano go Bolbeckiemu jako doktora: postanawia grać komedyją. Tymczasem gdy mniemany doktór wszedł do pokoju pacyjenta, przybywa drugi gość p. Władysław Szocki, młody agronom, siostrzeniec Bolbeckich, ale którego Bolbecka niewidziała oddawna i którego znowu bierze za doktora niewiedząc nic o przybyciu poprzedniego. Służąca Joasia anonsuje Dra Rzeszko. Szocki ponieważ przyjechał w celu pogodzenia ojca swego ze stryjem (Bolbeckim) nie wie jak się wkraść w jego łaski. Znając jednakże Dra Rzeszko wpada na tę samą myśl. Postanawia grać komedyją—również nie wiedząc iż już ktoś drugi go uprzedził. Ciotka się waha, niechce mu na to pozwolić—ale w tej chwili wpada Bolbecki szukając drugiego Dra Rzeszko. Obaj radziby się wycofać z tej roli. Sprawę jednak załatwia sam Bolbecki, który z ich zdziwienia i zmięszania wnosi że jest na świecie dwóch doktorów Rzeszko, którzy się wzajemnie nieznają. Radzi nieradzi obaj potwierdzają że tak jest rzeczywiście a Bolbecki uradowany że będzie mógł złożyć *„consilium facultatis"*. Jeden z mniemanych doktorów udaje homeopatę, drugi allopatę. Bolbecki błaga o sumienną naradę bo z pomięszanej miny doktorów, których gwałtem wzywał żeby porozumieli się po łacinie dla oszczędzenia mu strachu, wnosi, że zbliża się ostatnia jego chwila. Mniemani doktorowie chcą się każdy ze swej strony wycofać; proszą tedy o naradę w samotności—gdzie jeden drugiemu wykrywa powody komedyi i dla zakończenia swych konsultacyj postanawiają wyleczyć Bolbeckiego z imaginacyjnej choroby i żarłoctwa, skazując go na kąpiele i dyjetę. Gdy ucieszony pacyjent zapewnieniem o bezpieczeństwie jego życia i zdrowia kąpie się pod młynem, przyjeżdża prawdziwy Dr. Rzeszko. Waluś a po Walusiu Joasia przyjmują go homerycznym śmiechem. Trzeci Dr Rzeszko zostaje zaanonsowany wśród śmiejącej się do rozpuku służby, Bolbeckiemu wracającemu z kąpieli. Mniemani lekarze poznawszy wspólnego przyjaciela, błagają go żeby ich wyprowadził z błędnego położenia—co też robi—przedstawiając rzecz Bolbeckiemu który wygłodziwszy się dyetą, dobrał się tymczasem do spiżarni i zjadł prosiaka; —po chwili zdumienia i gniewu wszyscy się godzą i Anusia idzie za Zdzisława.—Oto treść komedyjki hr. Fredry (syna) którą po raz pierwszy przedstawiono we Czwartek na scenie teatru Rozmaitości. Dzięki znakomitej grze Żółkowskiego, który na sobie umiał ześrodkować całą uwagę widzów— komedyjka ta może mieć pewne powodzenie.

mi odmówić. Jakiebądź jest to pozwolenie mam je nakoniec, a teraz proszę o twoje. Nim mi pani odpowiesz, muszę cię uwiadomić, że jestem prawie w takiem samem położeniu jak owego poranku na drugi dzień po balu. Mam śmiałą choć niesilną nieprzyjaciołkę, ale ta którą wezmę za żonę, musi być gotowa do spotkania się z troską i zmartwieniem. Jestem tak samolubny że proszę cię o twoją rękę, ale pamiętaj o tem dobrze—dodał ze smutkiem— nie przyjmuj mojéj propozycyi, jeżeli sądzisz że kiedyś możesz tego żałować.

Sybilla spojrzała z wyrzutem na niego.

— Panie Dermot rzekła, wiesz pan że sprzyjam panu, wiem że przychodzisz do mnie z uczuciem przyjaźni — ale nie miłości. Powiedziałam już panu czego wymagam i od czego nie odstąpię.

— Nie miłości!—rzekł Dermot zarumieniwszy się z uczucia doznanego zawodu. — O Sybillo! dla jakiéjż innéj kobiety tak dalece upokorzyłbym moją dumę i zrobił takie jak przed chwilą wyznanie? Sybillo, prawem i przywilejem mężczyzny jest nieść szczęście i spokojność téj którą kocha; prawem i obowiązkiem jest jego, chronić swoją żonę od wszelkich trosk, uczynić ją tak szczęśliwą jak pogodny dzień letni. A ja tego nie mogę. Twardy los pozbawił mnie jednego z najszlachetniejszych przywilejów mężczyzny. Sądzę że mogę obiecać że ubóstwo nigdy cię nie dotknie — ale nic więcéj. Siebie i swój majątek tylko ofiarować mogę kobiecie, która mnie zechce. Nie sądź pani—rzekł spoglądając bystro na nią — iż nie widzę tego że postępując w ten sposób działam samolubnie, ale nie mogę temu zaradzić. Widzę troski przed sobą a nie mogę się oprzeć pragnieniu miłości i słodyczy twego towarzystwa. Rachuję że Bóg da przyszłość spokojną. Sybillo, gdy pobierzemy się i będziesz wszystko wiedziała, przyznasz iż silną musiałem być przejęty namiętnością w dniu, w którym prosiłem o twoją rękę — a wtedy może powiesz sobie iż lepiéjby było, gdybym cię mniéj kochał.

Sybilla zbladła jak posąg marmurowy.

— Krzywdzisz mnie pan—rzekła.—Nigdy tego życzyć sobie nie mogę. Jakakolwiek troska czy klęska spadnie na pana, nigdy tego nie zapragnę.

— Więc chcesz być moją Sybillo?—rzekł z uśmiechem.

— Daj mi pan czas do namysłu—odpowiedziała smutnie.

— Zostań moją żoną Sybillo, a przekonasz się o mnie niebawem.

Ale takie nagłe postanowienie nie przypadało do myśli Sybilli.

— O niedowierzająca! — rzekł z lekkiem zniecierpliwieniem, czyż mogę dać miarę mojéj miłości dla przekonania cię.

— To wszystko takie nieדawne dla pana.

— Skąd pani wiesz — odpowiedział lekko się rumieniąc. — Nigdy cierpieć nie mogłem owego hrabiego de Renneville. I teraz nawet wspomnienia znieść nie mogę iż go kochałaś kiedyś — choć niebardzo co prawda, ale dla mnie zawsze za wiele.

Mówił to z pewnym wyrazem zazdrości, który przeniknął do serca Sybilli. Spojrzała nań i uśmiechnęła się.

— Nie kochałam go prawdziwie rzekła — bo nie byłabym go zapomniała tak prędko. Przeszło to jak sen. Czy i pan tak kochałeś Blankę Cains?

— Nie, — odpowiedział z wyrazem szczerości — bo to nie miłość. Kochałem tak, jak teraz nienawidzę. Ale puśćmy ich oboje w niepamięć a myślmy o sobie — życie krótkie, czas upływa. Oto ptaszek nad nami śpiewa swojéj kochance, a raczéj żonie. Jutro może nadejść burza i strząsnąć jego gniazdeczko. Sybillo nie skąp mi kilku godzin szczęścia póki trwają.

Tyle namiętnego pragnienia było w jego głosie, że zwyciężył Sybillę. Czyż potrzebowała być przekonywaną? Nie rzekła ani słowa tylko podała mu rękę.

— Widzę, że jeszcze wątpisz, rzekł z wyrzutem.

— Nie,—odpowiedziała,—jakikolwiek los twój będzie, podzielę go. Mogę powiedzieć jak Ruth: Gdziekolwiek pójdziesz, pójdę za tobą i gdzie zamieszkasz ja zamieszkam. Twój lud będzie moim ludem i twój Bóg moim Bogiem—i nie będę żałować tego, dodała zarumieniona.

Chwycił ją w namiętne objęcia i drżącemi wargami dotknął jéj lica. Sybilla powiedziała sobie w duszy — Jego jestem na zawsze.

ROZDZIAŁ XVII.

Miss Glyn przybyła już po odejściu Dermota, a Sybilla nie wspomniała o jego bytności. Nie chciała z nikim dzielić się swoją radością. Miss Glyn spostrzegłszy rozpromienioną twarz Sybilli, powinszowała jéj téj zmiany.

— Widzisz moja droga, nigdybyś tak zdrową nie był w Saint-Vincent. Cieszę się z tego żeś się tu przeniosła.

— I ja także — odpowiedziała żwawo Sybilla.

— Spotkałam pana Dermota—mówiła daléj miss Glyn; niekontent był z tego że mnie w domu nie zastał, ale przyjdzie tu na wieczór. Przyznam, że pan Dermot zyskuje na bliższem poznaniu i że bardzo mu wdzięczna jestem za trud jaki sobie zadaje.

Sybilla była szczerą i otwartą, ale tajemnica nie do niéj saméj należała, nic więc nie odpowiedziała a panna Glyn mówiła daléj:

— Biedny Dermot! Mam silne podejrzenie że panna Cains nigdy jéj inaczéj nie nazwę, otumaniła go całkowicie. Trudno mu wybrnąć z tego.

Sybilla odwróciła głowę.

— Nie zdołam ukryć mojéj tajemnicy — myślała sobie—jeżeli ciotka daléj tak mówić będzie.

Szczęściem panna Glyn miała dość o swoich interesach do myślenia i rychło zapomniała o Dermocie.

Przybył on wieczorem i znów kilku godzinami szczęścia obdarzył Sybillę. Na pannę Glyn zrobił Dermot jeszcze korzystniejsze niż poprzednio wrażenie.

— Bardzo miły człowiek—rzekła do Sybilli gdy odszedł. Jakto źle że poprzednio takim był przykrym w obejściu.

Sybilla miała ochotę odpowiedzieć:

— Ciotka to była przykrą nie on —

Ale uwaga taka niebyłaby grzeczną. Miss Glyn zresztą mówiła ze szczerego przekonania. Było to już jej zwyczajem, winy wszelkie składać na innych a siebie uważać za nieomylną.

— Ciekawam kiedy powie ciotce i kiedy wrócę do Saint-Vincent—myślała Sybilla dostawszy się do swego pokoju. Nieumiem udawać ani oszukiwać, to wygląda na Blankę Cains—powiem mu to.

I błogie snując w głowie projekta, zasnęła snem szczęśliwych.

W kilka dni potem, po ukończeniu rewizyi rachunków handlowych panny Glyn, siedział Dermot w jej salonie i korzystając z chwilowego sam na sam, napawał się rozmową z Sybillą.

— Nigdyż mi pan nie powiesz jakie troski cię gniotą? zapytała z cicha Sybilla.

— Jak się pobierzemy Sybillo. Gdybym teraz powiedział, wyrzekłabyś się mnie.

— Krzywdzisz mnie pan—rzekła zapłonąwszy Sybilla—krzywdzisz mnie.

I wstawszy, przeszła na drugą stronę pokoju, milczeniem odpowiadając na wszelkie jego przeproszenia i prośby.

Siedzieli zdala od siebie w zmroku wieczornym, gdy otworzyły się drzwi i weszła panna Glyn.

— Sybillo, zadzwoń żeby przyniesiono światło rzekła, a w głosie jej czuć było jakieś niezwykłe rozdrażnienie.

Sybilla zadzwoniła i wyszła z pokoju do ogrodu. Służąca po chwili wniosła świecę.

— Pani masz mi coś do powiedzenia? zapytał Dermot, przyglądając się zmienionej twarzy panny Glyn.

—Panie Dermot,odpowiedziano mu po chwili—nielubię długo mówić. Odebrałam list bezimienny który pana dotyczy. Oto jest. Powiedz czy prawdą czy fałszem jest treść jego?

Wręczyła mu list otwarty, a Dermot odczytał go spokojnie, głośno i wyraźnie:

„Zawiadamiam że pan Dermot znajomy pani, w lipcu roku zeszłego jako mocno podejrzany figurował w śledztwie prokuratora odbytem w Moonagh w Irlandyi nad zwłokami pewnego Smitha.

„Ów Smith spalony został dnia siódmego lipca, w domu Dermota. Na półgodziny przed dostrzeżeniem ognia, Dermot i Smith mieli gwałtowną kłótnię między sobą.

„Dom Dermota na tydzień przed *przypadkową śmiercią* Smitha, zabezpieczony został w towarzystwie ogniowem.

„Prokurator, wykazał że jest *silne podejrzenie,* ale sąd przysięgłych zgodnie z jego wnioskami wydał wyrok uwalniający.

„Ów pan Dermot stara się o rękę siostrzenicy pani”.

Dermot złożył list i oddał go pannie Glyn. Był blady, ale spokojny.

— Panie Dermot—gwałtownie zawołała Miss Glyn, proszę mi powiedzieć, czy pan jesteś tą osobą, to jest tym samym Dermotem?

— Tym samym, odpowiedział spokojnie.

— I pan Smith został spalony na śmierć?

— Tak.

— W domu pana? po kłótni?

— Był w moim domu, ale nie kłóciliśmy się, Smith miał zwyczaj głośno mówić i dużo robić hałasu, ale to nie była kłótnia.

— I pan dom swój zabezpieczyłeś na tydzień przed tem?

— Tak—i to szczęście, bo wartość była dość duża.

Mówił spokojnym tonem; panna Glyn spoglądała nań niewiedząc co myśleć.

— Więc nie byłeś pan podejrzany—rzekła—wszystko to wymysł w dowodzeniu prokuratora?

Twarz Dermota rozpłomieniła się, oczy zabłysły, wargi drgnęły, głos stracił spokojność.

— Prokurator był moim osobistym nieprzyjacielem rzekł; — nienawidził mnie i dał folgę swojej nienawiści dnia tego.

— Niech nam Bóg będzie miłosierny! rzekła miss Glyn, uderzając dłońmi w kolana —więc pan jesteś zniesławiony?

Dermot spojrzał na nią z ledwie hamowanym gniewem. Śmiała mu to powiedzieć! Śmiała go dotknąć tak zuchwałem pytaniem.

— Rozumie się że jesteś—mówiła dalej bezmiłosiernie — i dla tego to przybyłeś pan do Saint-Vincent jako brat pana Kennedy — dla tego ukrywałeś swoje nazwisko — niech nam Bóg będzie miłosierny! (*D. c. n*)

O NAUCZANIU POCZĄTKOWEM.

(Ciąg dalszy).

Potém można przejść do przypatrywania się czworokątom — pokazać rozmaite ich rodzaje: zwykły czworokąt, trapez, równoległobok, prostokąt, kwadrat, wskazać cechy i wymagać, by dziecię nazywając nakreślony czworokąt, zdawało sprawę, dla czego go tak nazywa. Na każdéj takiej figurze robić można wiele spostrzeżeń, to o kątach, to o wielkości boków,—brać prostokąty raz bardziéj długie jak wysokie, potem na odwrót — równoległoboki wysunięte ku prawéj stronie lub ku lewéj, nakreśliwszy np. trapez prosty, (t. j. taki, w którym są dwa kąty proste) kazać spostrzegać tę szczególność, i t. p. żadne spostrzeżenia złe nie będą, bo wszystko tu jest prawdą. Można porównywać z sobą rozmaite czworokąty; przypuśćmy że porównywa się dwa trapezy: jeden się zwęża ku górze, drugi rozszerza—w jednym podstawa dolna dłuższą jest jak górna, w drugim przeciwnie w jednym boki nierównoległe zeszłyby się w górze, w drugim u dołu—w jednym przy podstawie dolnéj leżą dwa kąty ostre, a przy górnéj dwa rozwarte, w drugim przeciwnie;—porównywa się np. równoległobok z trapezem, dwa równoległoboki z sobą i t. p. Dzieli się równoległoboki, prostokąty, na 6 na 8 części równych, dwoma, trzema, ilu można sposobami.

Po czworokątach można zająć się trójkątami: poznać rozmaite ich rodzaje, porównywać jedne z drugiemi, spostrzegać w nich takie np. własności, że naprzeciwko boku większego leży kąt większy, i używać téj prawdy do oznaczenia kolejno wielkości kątów przez mierzenie boków;—wytłomaczyć że prostopadła spuszczona z wierzchołka trójkąta na podstawę dzieli ją na dwie części, tak, że większa część leży pod bokiem większym i t. p. Zapoznawszy się z okręgiem koła, i niektóremi jego własnościami, można kreślić trójkąty równe, rysować rozmaite figury z łuków i prostych linij złożone, zmniejszać lub powiększać ich rozmiary dwa razy i t. p. Kto może niech zapozna w ten sposób dziecię z rozmaitemi własnościami figur, występującemi w formie twierdzeń w książkach geometryi, można nawet powoli przyzwyczajać do dowodzeń, nie wypowiadając ich jednak z całą dyjalektyką książkom właściwą. Przypatrzywszy się np. dobrze kątom przy linijach równoległych, dowiódłszy twierdzenia o summie dwóch kątów przyległych — dowieść, że summa kątów trójkąta równa się summie dwóch kątów prostych—rzeczto będzie dla dziecka interesująca, bo wcale nie widoczna i można z téj prawdy wiele robić zastosowań. Nadto jak w całéj nauce okazowéj wypracowywać w dziecku należy sposób mówienia coraz bardziéj do książkowego ścisłego ale prostego stylu: zbliżony, tak też i tu pomagać mu należy w wytwarzaniu określeń, w wypowiadaniu prawd mniéj więcéj naukowym językiem. Ułatwi to następnie pojmowanie określeń i prawd w książkach spotykanych, bo nauczywszy się określać rzeczy dobrze sobie znajome, zrozumie się związek między określeniem a rzeczą, i potrafi przeprowadzać ćwiczenie odwrotne.

Taka początkowa nauka geometryi ma wielką pedagogiczną wartość: jest to jedna z najpiękniejszych części nauki okazowéj, bo w przedmiotach geometrycznych panuje doskonała prawidłowość, przyjaźnie na umysłowy rozwój dziecka wpływająca—ma także wartość praktyczną dla wszystkich, chłopców zarówno jak i dziewczynek, bo z figurami geometrycznemi w codziennem życiu się spotykamy, a dla czegóżby kobieta nie mogła pojmować téj prawdy, że pokój mający 10 łokci długości, a 6 szerokości, mniejszy będzie od pokoju, co ma 9 łokci długości, a 7 szerokości. W nauczaniu chłopców mających wstąpić do szkół jest i z tego względu nieodbicie potrzebną, że w szkołach wykładaną jest geometryja Euklidesowa, która, jak już powiedziałem, jest wysoko filozoficzną, nawet za wysoko względnie do młodych główek, którym się to daje, i dla tego w niektórych systematach szkolnych wykład jéj jest bardzo zmodyfikowany. Ta Euklidesowa geometryja jest korzystną, gdy ją się rozumie, bo ćwiczy w prawidłowem logicznem rozumowaniu,—ale niezbędnie potrzebuje przygotowania, gdyż dziecię nie może zrozumieć rozumowania o rzeczach, którym się przedtem jakkolwiek nie przypatrzyło, nauczyciel zaś gimnazyjalny, związany planem, nie może dla braku czasu tych przygotowawczych ćwiczeń z dostateczną, że tak powiem siłą, przeprowadzić.

Zwrócimy teraz uwagę na naukę geografii: męczą nią dużo dzieci bez najmniejszego pożytku. Przystępując do niéj uczący, bierze książkę, mapę, czasami i globus, i nie starając się zupełnie o wprowadzenie dziecka w tę naukę o pokazanie mu świata, o którym się ma uczyć, przechodzi rzecz w naukowo-systematycznym porządku, karta za kartą, Dziecię rozpoczyna naukę od niezrozumiałych ogólników, uczy się o ludności całej kuli ziemskiéj, o rasach, religjach rozmaitych form rządu, o górach, o przylądkach i zatokach całego świata, potem przechodzi do szczegółowego opisu części świata i krajów,—wygłasza wszystko według słów książki, wskazuje na mappie, nie rozumiejąc jaki ma związek ta mappa, ze światem rzeczywistym. Wie ono zkąd inąd, że jakiś Paryż, miasto rzeczywiste, coś na kształt Warszawy, istnieje na świecie,—ale jaki jest związek między tamtym Paryżem, a tym który na mappie podkreśla, nie wie z pewnością; podobnie jak nie wie, co to jest strona wschodnia, północna i t. p. bo powiedziano mu, odnośnie do mappy, północ u góry, południe u dołu i t. d. na stronę zaś, gdzie słońce wschodzi i zachodzi, uczący uwagi jego nie zwrócił.

A nawet przypuściwszy, że wszystko to jakoś dziecku wytłumaczono, to zawsze takie nauczanie obarcza mnóstwem szczegółów niepotrzebnych, albo przynajmniej przedwczesnych, nie dając wiadomości, które są konieczne i interesujące; dziwne zaprawdę jest położenie dziecka mieszkającego np. w Warszawie, uczącego się jaka jest ludność Kairu, ile mil kwadratowych ma jakaś wyspa Australska, a nie wiedzącego jakie drogi wychodzą z Warszawy, gdzie prowadzą, w jakiéj stronie, jak daleko leży Płock, Radom i t. p.

Zrozumiećby należało, że systematyczne i o tyle o ile rzecz wyczerpujące podręczniki geografii (i innych nauk opisowych) nie na to istnieją, by się z nich dzieci na pamięć uczyły; umieć geografię niespecyalnie dla człowieka dojrzałego, znaczy to mieć ogólne o rzeczy pojęcie, pamiętać pierwszorzędnéj wartości szczegóły, i znać się z taką książką o tyle, aby w danym razie można było w niéj odszukać potrzebnego na chwilę szczegółu. To uczenie sie na pamięć miałoby wtedy tylko cel rozumny, gdyby prowadziło ostatecznie do pamiętania wszystkiego, a rzecz to nie możliwa, bo z pewnością autorowie tych podręczników, nie byliby w stanie z pamięci *wszystkiego* powiedzieć, co napisali.

Nauka geografii ma swoje znaczenie w początkowem nauczaniu, nietylko bowiem przygotowuje do późniejszego systematyczniejszego poznania téj nauki, nietylko daje pewne wiadomości, ale korzystnie także wpływa na umysłowy rozwój, ucząc niejako patrzeć w dalekie strony. Inaczej jednak ją prowadzić należy—wyjść trzeba z punktu zamieszkania dziecka, pierwsze mappy w postaci planów, w oczach jego powstawać powinny—potem dopiero można używać mapp, tak zwanych ślepych i pisanych — ale powinny być one odpowiednio do celu zrobione, jasne i wyraźne, wskazywać szczegóły najważniejsze i w tem nauczaniu wymieniane; owe mapy zasiane rozmaitemi znaczkami są ludziom potrzebne, podobnie jak obszerne podręczniki geografii, ale użycie ich w nauczaniu początkowem jest niewłaściwe, bo i naukę dziecku utrudniają i oczy psują. Kreślenie zaś planów z początku jest konieczne, jako samo przez się, dzielny środek w rozwinięciu umysłu, i że mappy bez tego dobrze rozumieć nie można, a *dobrze rozumiana* mappa jest w pewnym stopniu uzupełnieniem, okazem w nauczaniu geografii.

Opowiem trochę szczegółowiej, jakby tę naukę prowadzić należało z dzieckiem, mieszkającem np. w Warszawie, łatwo to będzie zastosować do innych miejscowości.

Dziecię rozpoczynające tę naukę, powinno już mieć pojęcie o prostokącie, linjach równoległych, prostopadłych, powinno umieć kreślić linje oznaczonych wymiarów, czy to za pomocą cyrkla, czy za pomocą linijki. Zacznie uczący od kreślenia planu pewnego pokoju, zwróci uwagę ucznia na jego kształt prostokątny, zmierzy [1]) długość, szerokość i nakreśli na arkuszu papieru odpowiedni prostokąt. Naturalnie na zbyt drobne podziały jak np. cale nie można zwracać uwagi, dość poprzestać na ćwierciach łokcia. Potem także przez wymiary oznaczy położenie okna, drzwi, szaf, stołów, komód i innych większych przedmiotów — krzesła nie koniecznie się tu nadają. Zajęcie to na kilka razy, potem niech uczeń sam to powtarza na tym i innych pokojach, niech mniéj więcéj przyucza się do zdejmowania planu od oka, niech kreśli plany kilku pokoi — nawet całego mieszkania, potem podwórza np.; w ogóle zaczynać należy od miejscowości dających się łatwo wzrokiem objąć. Następnie nakreśli się plan ulicy, oznaczy domy szczególne, tu wymiarów użyć nie można lub trudno, brać trzeba częścią na oko, częścią korzystać ze wskazówek danéj ulicy właściwych — np. odstępów między latarniami gazowemi i t. p. Dobrze jest chodząc często po pewnéj ulicy zwracać uwagę dziecka na lekkie zakręty, rozszerzenia i t. p., potem wszystkie te szczegóły na planie odznaczać. Powoli, na innym oczywiście planie, dołączać się będą sąsiednie ulice, znane dobrze dziecku, aż dojdzie się np. do linii Nowego-Świata i Krakowskiego-Przedmieścia. Poznawszy dobrze tę linję zajdziemy na Zjazd i do Wisły, tu znajdziemy sposobność do mówienia o rozmaitych rzeczach geograficznych, o wyspach i morzu, o jeziorze i t. p. Z drugiéj znów strony pójdziemy w Aleje, dotrzemy do rogatek belwederskich i mokotowskich, potem wyjść można za rogatki mokotowskie, dobrze się przypatrywać okolicy i przenieść to wszystko na plan,— później znów wyjdziemy za rogatki belwederskie, zapuściwszy się trochę daléj, spotkamy rozległy widok—zarysuje się zdala Czerniaków, Wilanów, na górze widzieć się będzie Mokotów i Królikarnię; przeniosłszy to na plan dziecko zrozumie, że kilka punkcików, kółek,

[1]) Zmierzyć trzeba sznurkiem, potem sznurek łokciem.

oznaczać może względne położenie kilku miejscowości. W ten sposób dziecię poznaje najbliższą okolicę swego miejsca pobytu. Im daléj okoliczności pozwolą się zapuszczać, tem lepiej, ale nie wolno nie wyjść z dzieckiem po za Ogród Saski lub Krasiński, jeżeli się je chce naprawdę uczyć.

Może ktoś przyjmie te projekta z uśmiechem, zarzuci, że to jakiś bardzo spacerowy sposób uczenia geografii — ale wszakże podróże i dorosłych kształcą i najlepiéj uczą geografii — dla dziecka zaś wycieczki podobne, konieczne prawie ze względu na zdrowie ciała, są nieocenionéj wartości pod względem naukowym — ileż się tam rzeczy nowych widzi — ileż materyału gotowego do nauki okazowéj, a pamiętać należy, że nie to dziecko najlepiéj uczone, które z wielu książek kuło niezrozumiałe ustępy — ale to któremu na wiele rzeczy rozumnie patrzeć pozwolono.

Teraz dopiero rozszerzyć można zakres nauczania i uczyć na niewidzianego. Można objaśniać do jakich miast większych prowadzą drogi których początek dziecię widziało, można iść za biegiem Wisły i dojść w ten sposób z jednej strony do Karpat z drugiéj do morza Baltyckiego—zacząć kreślić w ogólnym kształcie granice państw Europejskich, ale nie trzeba nigdy być zbyt szczodrym w szczegółach i drobiazgach, lepiéj zupełnie nie mówić tego, co z konieczności dziecię za kilka godzin: dni lub tygodni zapomni. Można pokazywać mappy—aby dziecię odrysowywało sobie z niej jakieś szczegóły—trzeba objaśnić strony świata,—nauczyć się w tym względzie orjentować, korzystać z tego w oznaczaniu położenia rozmaitych miast o których była mowa, i które dziecię kreśliło. Można pokazać globus—wskazać części świata, rozmaite oceany — objaśnić przy pomocy świecy lub lampy i globusa, powstawanie dnia i nocy. Raz jeszcze powtarzamy jednak, nie trzeba uczyć zbyt wielu szczegółów o dalekich stronach; pasma gór, wielkie rzeki, z miast mniej więcéj tylko stolice,—o ile to będzie dla dziecka przystępne, mowić o zwyczajach rozmaitych ludów, o właściwościach pewnych krajów i miast, i zawsze wymagać, by dziecię dobrze sobie zdawało sprawę, ze względnego położenia wiadomych miejscowości. — O szerokości i długości geograficznéj lepiej nie mówić z dzieckiem przed skończeniem dziesięciu lat, ale zato dziecię wtedy mogłoby umieć z pamięci, na arkuszu papieru nakreślić w ogólnych konturach [1]) mappę Europy.

* * *

Pomówimy jeszcze o nauce **gramatyki** nauczanie jéj z książki, choćby jak najlepszemi objaśnieniami i dobrze prowadzonemi rozbiorami poparte, nie odpowiada charakterowi początkowego nauczania. Książka zaczyna od określenia nauki, od wyliczenia nazw wszystkich części mowy, potem porządkiem o tyle: o ile wyczerpującym, zajmuje się każdą częścią mowy oddzielnie, — (że już nie mówię o takich książkach: które rozpoczynają rzecz od teoryi przemiany jednych dźwięków na drugie) t. j. pisaną jest zawsze w naukowo systematycznym układzie, co odpowiada wykładowi uniwersyteckiemu, ale najniewłaściwszem jest w początkowem nauczaniu, gdzie dopiero poznawszy pewną ilość faktów, można mniéj więcej ująć ich w pewien system, stający się coraz doskonalszym, w miarę stopniowego rozwijania się dziecka, a potem młodzieńca. (*D. n.*)

---

[1]) To znaczy, że Hiszpanija z Portugalją może tam wyglądać jak kwadrat, a Szwecyja z Norwegiją jak prostokąt, ale nie trzeba nakreślić Anglii pod Francyją, a Włoszech na wschód od Turcyi.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Dziwy świata pierwotnego, *czyli kolebka wszechświata, Dr. Zimmermana, przełożył z 23 wydania T. Dziekoński b. Dyr. Gim.—z 288 drzew. Wyd. 2-ie. Warszawa. 1871.* Nakład Merzbacha. Cena Rs. 2 kop. 40.

Pod powyższym szumnym tytułem wyszło pożyteczne zresztą dzieło, traktujące o pierwotnych dziejach ziemi i życiowych na niéj objawach. Treść jego obfita w szczegóły paleontologiczne obejmuje: archiwa świata pierwotnego, początek systematu planetarnego, początek ziemi, zaludnienie powierzchni ziemi, rośliny i zwierzęta świata pierwotnego, opisy formacyj, działań wulkanicznych i plutonicznych, trzęsień ziemi, wreszcie szczegóły dotyczące pokładów rud mineralnych. Ale w przeprowadzeniu dzieła brak wszelkiego naukowego systematu, treść pomieszana, w wielu miejscach niekompletna, nieodpowiadająca dzisiejszemu stanowisku nauki, tak np. paleontologii ludzkiéj zupełnie w niéj nie uwzględniono, autor bowiem nie znał jeszcze nowszych prac na tem polu i nie wierzył w istnienie człowieka kopalnego. W przedmiocie tym musimy polecić niedawno wyszłe dzieło Figuiera „L'homme fossile," które jakkolwiek także w niektórych punktach naukowéj krytyki niewytrzymuje, w każdym jednak razie posiada wielką wartość popularyzacyjną. Z tego téż stanowiska i powyższe dzieło Zimmermana choć przestarzałe, ale jako zajmujące i nauczające z wielu innych względów, czytelnikom naszym polecamy. *J. O.*

Historyja Roślin, *dzieło L. Figuiera, przełożył i uzupełnił Jakób Waga. Warszawa. 1871. 3 wiełkie tomy z 415 drzeworytami.*

Zmarły przed kilku tygodniami a wielce krajowi zasłużony autor „Flory Poiskiéj," wzbogacił popularno naukowe piśmiennictwo nasze cennym nabytkiem dzieła, które pod powyższym tytułem w pięknem wydaniu, wyszło z drukarni Ungra.

Zachowawszy to co napisał Figuier, Waga wedle możności pozmieniał, rozprzestrzenił i poprawił wiele, nadając całemu dziełu charakter przeważnie miejscowy. Pracę jego najlepiéj ocenić można z drugiego tomu, który zawiera Botanikę Opisową (Systematykę) roślin Jedno i Dwuliścieniowych, zmienioną prawie do niepoznania, bo zamiast 40 familij przez Figuiera ogólnie skreślonych, znajdujemy ich 170 i to ze szczególnym naciskiem na rośliny krajowe oraz zagraniczne, czémkolwiekbądź odznaczające się. Gdyby tylko ten jeden tom wyszedł z druku, cała książka zasługiwałaby już na jaknajwiększe rozpowszechnienie.

Zasługą także Wagi jest uzupełnienie Organografii, większą część tomu pierwszego zajmującéj, tak że obrobienie i téj części Botaniki mało do życzenia pozostawia. Znacznie słabiéj opracowane są inne działy, mianowicie też Anatomii, a po części i Fizyjologii Roślin, które zresztą z Organografiją połączone, nie mają dla siebie osobnego pomieszczenia, a także Systematyka roślin Skrytopłciowych czyli Bezliścieniowych.

Dla uzupełnienia całości, autor dodał w tomie trzecim Geografiją roślinną, krótko, bo tylko w głównych zarysach lecz dobrze skreśloną. Wykład łatwy i po większéj części przystępny, ubarwiony często opowiadaniami uczonych podróżników, tłomaczenie dosyć gładkie i płynne z zachowaniem Słownictwa przez celniejszych botaników Polskich przyjętego, zalecają tę książkę ogółowi. Tekst ozdobiony 415 pięknemi drzeworytami podług widoków z natury wziętych. Cena książki w stosunku do jéj wartości, obszerności i kosztów wydawnictwa umiarkowana, wynosi tylko 6 Rs. *E. J.*

Idealista, *poemat fantastyczny przez Stanisława Grudzińskiego. W Krakowie. 1871, str. 70.*

Jestto zbiór opowiadań, pieśni, zachwytów miłosnych, nieprzebłaganéj rozpaczy, zapędów do czynu, marzeń i dumań przeróżnego kroju, jakich doświadczał pewien marzyciel, czy, jak go autor nazywa idealista, w krótkiem swem życiu, które przecięła kula nieprzyjacielska. Wypadków, któreby opowiedzieć należało dla scharakteryzowania treści, nie ma tu prawie wcale. Sens moralny wypowiada się nieraz w ciągu tego urywkowego i mglistego poematu; że marzenia są ułudą a jedyną rzeczywistością jest *czyn*. Marzyciel umiera dlatego, że „*żył na świecie... lecz nie dla świata*." W ostatniéj chwili woła:

„O matko! słuszne wyroki Boga!
I słuszna kara—o matko droga!
Kto się *odrywał ciągle od ziemi*
Niech krwią i łzami zrosi ją swemi;
A kiedy spadnie powłoka ciała,
Która mu światło prawdy *zaciemia*
Niech się przekona, że i on *ziemia*,
Choć się ta ziemia za bóstwo miała.

Tendencyję w ten sposób wyrażoną, żeby nigdy nie zapominać o twardych warunkach rzeczywistości i do nich myśli swoje i czyny zastosowywać—oczywiście pochwalić należy w poecie, gdyż dotąd „wieszcze" zwłaszcza, pośledniego gatunku gardzili ziemią i zimną prozą, nic dla społeczeństwa dobrego nie robiąc. Wiersz gładki i potoczysty, przypomina bardzo wiele ustępów z pierwszorzędnych naszych poetów tak jednakże iż trudno p. Gr. o plagijat posądzić. Przytoczony ustęp może dać miarę wszystkich innych wierszy nawet pod względem błędów językowych (zaciemia). *P. Ch.*

Perly, *zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiej dla młodocianego wieku. Wolny przekład Wł. Lud. Anczyca. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa.*

Perły może nie — ale rzeczywiście *perełki*, drobniuche ale piękne, maleńkie ale iskrami ślicznych myśli błyszące. P. Anczyc pozbierawszy je z różnych skarbnic na jeden sznurek nanizał, ofiarując dziatkom naszym.

Trzeba przyznać że wybór wyśmienity, że cała ta wdzięczna wiązanka upleciona z najpiękniejszego kwiecia, powinna ślicznie przystroić główki dziecęce. Powiastki te po większéj części mają pewną wspólność z bajkami wierszowanémi, albowiem wypowiadają treść moralną za pomocą *uosabiania* roślin albo zwierząt. Sposób taki jeżeli w utworach artystycznych, dziś jest przestarzałym, w dziełkach powieściowych lub poetycznych mających pedagogiczne cele, odpowiada żywéj młodocianéj wyobraźni. Potrzeba tylko nader umiejętnie go używać, aby nie wpaść w jakieś mgliste marzycielskie poezytowanie, ale raczéj pozostawić młodocianą naiwność wyobraźni, która rzeczywiście tak lubi nadawać ludzkie życie utworom przyrody. Perły, jaknajzupełniéj tym warunkom odpowiadają. Oprócz *kilku* drobnych szczegółów, pewnéj chorobliwości uczucia, poezytującego np. takie objawy jak płakanie dzieci na grobach piesków albo kanarków, oprócz *kilku frazesów* nienaturalnéj affektacyi, cała książeczka szczebioce językiem pełnym barwy, życia i wdzięku. Pod tym względem, p. Anczyc który tak świetnie włada bujną poetycznością w tłomaczeniach tragedyj, umie być w swoim rodzaju równie doskonałym w literaturze dziecinnéj. I tutaj jego słowo mieni się barw tysiącem, błyszczy bogactwem—ale zarazem, dźwięczy miłą *prostotą*. Forma allegoryczna, przeprowadzona i utrzymana z ciągłą konsekwencyją daje obok tego możność przedstawienia umy-

słom młodocianym myśli i zasad nieraz tak ważnych i podniosłych, że trudno by było może na pokładach rzeczywistego życia równie jasno je wyłożyć. Czy można np. przystępniéj wykazać zgubne skutki ambicyi i nienasyconéj żądzy posiadania i wywyższenia się, skutki tak pouczające, dla dzisiejszego rozgorączkowanego wieku, jak to czyni: „*Gawędka z jeżyną*,“ opisująca smutne losy polowego kamyka, który niezadowolony swym cichém istnieniem w zakątku, został z biegiem czasu umieszczony w murze na szczycie wieży a potém zagrzebany w jéj gruzach, albo owego ametystu który pysznięc się modrą barwą wśród szarych braci, poznał wkrótce swą małoważność w obec innych drogich kamieni, i za karę swéj dumy, spoczął na dnie rynsztoka, roztłuczony przez brukarzów?

Obok takich powiastek, jak: „*Trojka szkolna*,“ „*Jagniątko*;“ „*Wesoła minka podoba się wszystkim*,“ „*Wiatr i kwiaty*,“ które mniéj więcéj zawierają w sobie zasady ściśle stosujące się do *życia dziecinnego*, inne z nich przedstawiają prawdy szerszéj doniosłości dla *życia ludzkiego w ogóle*. I tak np. „*Ptaszki w gniazdku*“ uczą żeby nie pokładać szczęścia na jednych tylko podstawach, bo one zawieść mogą; „*Historyja o dwóch pieskach*“ przestrzega, aby nie rozmiękczać ciała i duszy wygódkami ale zaprawiać się do pracy i trudu; „*Błędny ognik*“ wykazuje, jak zgubne skutki pociąga za sobą nieuctwo i zabobony szczególnie w zakresie zjawisk natury; „*Swierszcz*,“ „*Żółw i makolągwa*,“ zachęcają do cierpliwego znoszenia przykrości losu; „*Dukat Stasi*“ gani nieroztropną żywość, brak zimnéj krwi w sądzeniu o rzeczach a z drugiéj strony wypowiada wielką prawdę, że każda cnota może być szkodliwą jeżeli w *maniję* przechodzi. Wszystkie te myśli nie wypowiedziane w suchym morale którego starannie unikano, ale utkwione z prawdziwym artyzmem w istotnéj treści samych powiastek. Wszystkie wprowadzone rośliny i zwierzęta tak jak ludzie mają tu swój charakter wybitnie określony i zgodnie przeprowadzony, co znowu z powodu drobnych ramek powieści nie było rzeczą tak trudną.

Zupełnie podobnie wychodzą postacie dziecinne, przedstawiające wcale różnorodną galeryjkę. Dostrzegliśmy jednak pod względem treściowym kilka skaz drobnych ale niepięknie szpecących piękną całość. Takie frazesa jak: „powinieneś *ślepo słuchać* przestróg matki“ (str. 11), „kiedy starsi mówią toś powinien *odrazu wierzyć*“ (str. 11), „skoro nas wychował, ma *najzupełniejsze prawo robić z nami, co mu się podoba*,“ trącą strasznie zastarzałą pedagogiją, która starała się przytłumiać samodzielność myśli i woli dziecięcia, wyrabiać niewolnicze poddaństwo wychowańców w obec wychowujących. Obok tego w powiastce „*Mały światek*,“ zawierającéj bardzo przystępnie i zrozumiale wyjaśnioną naukę o nieśmiertelności duszy, znajdujemy na końcu polemiczny wyrok przeciwko „*półmędrkom, którzy nieraz wyrokować chcą o rzeczach o jakich wyobrażenia nie mają*.“ Nic nie mamy przeciwko takiemu postacowaniu w powieściach prawd religijnych, które mogą się korzystniéj przedstawić dzieciom w nauce allegoryi jak w katechizmowym wykładzie. Ale frazesa podobne dowodzą wielkiego braku *taktu* pedagogicznego. Uczą one nienawiści i przesadnego fanatycznego uprzedzenia przeciwko tym, którzy mogą błądzić w przekonaniu większości, ale niemniéj dążą do prawdy, (chociaż nie utartémi drogami) i, jeżeli to czynią z głęboką siłą, przekonaniem, a nie dla chwilowéj fanfaronady, zasługują na szacunek, jaki należy się każdéj niepodległéj opinii.

W ogóle te wszystkie szczegółowe wadliwosci, są, jak się zdaje, dodatkiem samego tłomacza, bo autorowie angielscy zdradzający w pomyśle samym wysoką znajomość pedagogiczną, powstawający nieraz bardzo wyraźnie w powiastkach, na suchą formułkową pedanteryję, trudno ażeby popełniali tak rażące błędy.

P. Anczyc przy następnem wydaniu téj książeczki, (które jesteśmy pewni, że będzie potrzebném), powinien usunąć te wszystkie drobnostkowe niedostatki, jeżeli chce ją uczynić istotnie *doskonałą*, istotnie klasyczną w swoim rodzaju, chociaż i teraz jest ona może *najlepszą* między wszystkiemi, jakie się pojawiły w końcu przeszłego i początku tego roku. Pod względem wydawniczym zasługuje również na uznanie, jest bowiem ozdobiona przyzwoitemi rysunkami biegłego artysty, którego jednak symbolika nie zawsze dla dzieci dosyć jasno się przedstawia.

Dzieje jedynaka, powieść *Edw. Chłopickiego.*

Jestto jeden z nielicznych utworów piśmiennictwa naszego, prawie wyłącznie sprawie wychowania poświęcony. Wykazuje on wady pewnego systematu wychowawczego, przyjętego szczególnéj u nas w zamożnych domach, skierowanego raczéj ku kształceniu zewnętrzych, powierzchownych przymiotów, ku wyrobieniu jakiéj takiéj ogłady towarzyskie,, aniżeli ku rozwinięciu moralnego i rozumnego gruntu charakteru. Autor przedstawia cały ciąg życia człowieka, który mógłby zostać bardzo użytecznym społeczeństwu, a z powodu tego systemu staje się bezużytecznym a nawet nieraz i szkodliwym, który nie umie wypełnić żadnego obowiązku, nie zdolny prawdziwie przejąć się żadnem poważnem zadaniem życiowem. Smutny to obraz — ale jakże u nas częsty i prawdziwy. Dlatego też powieść p. Ch. pomimo wielu braków artystycznych, zasługuje na uwagę wszystkich ludzi myślących, a szczególniéj *matek naszych*, pragnących na podstawach rozumnych oprzeć moralne i fizyczne wykształcenie dzieci, aby dać godnych robotników do wielkiego warsztatu o społecznej pracy i ogólnego postępu.

J. K. K.

O zmyślności zwierząt, przez *Ernesta Menault'a*. Warszawa, str. 164. Nakład Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.

Książka ta wyszła z druku jako bezpłatny dodatek do wspomnionego pisma. Autor rozbiera dowody zmyślności zwierząt, zacząwszy od mrówek, a skończywszy na małpach. Treść bardzo obfita, tłomaczenie poprawne, tak że śmiało możemy polecić czytelnikom naszym tę książkę, jako najodpowiedniejszą dla młodzieży, a wielce zajmującą i dla starszych.

J. O.

Teod. Tom. Jeż. Siostrzane dusze, powieść, nakładem wydawnictwa M. Dzikowskiego.—Warszawa 1872 str. 204.

P. *Jeż*, jeden z najdolniejszych naszych powieściopisarzy, przedstawił w téj powieści los dwu kobiet (matki i córki), z których pierwsza była wyrachowaną egoistką, a druga czułą i kochającą istotą: Z powodu ruiny majątkowéj i po gwałtownéj śmierci męża a ojca, musiały przyjąć schronienie dane im przez bankiera (*Armulpha*), który postanowił się niemi. t. j. głównie córką (*Lucyną*) zabawić.... Ale, ta pokochała ekscentryka — malarza (*Prospera Grzędę*) i zabiegom jego odjęła wszelką nadzieję, powodzenia. Scen miłosnych jest bardzo niewiele; całość składa się ze scen zanadto wyraźnie zarywających na *anegdoty* bez głębszego wniknięcia tak w charaktery jak i w ich położenie społeczne. Myśli kilka (mianowicie o *artystach*), choć nie nowych, ale zawsze pożytecznych nadaje tej powieści pewne znaczenie w szczegółach, znaczenie, którego całości przyznać niepodobna.

Szkice charakterystyczne lwowskie, z niedawnéj przeszłości, czyli **los szulera**, napisał *Lucjan Falkiewicz*. Warszawą 1872 str. 139.

Rzecz tutaj opisywana dzieje się przed laty trzydziestu kilku i wedle zapewnienia autora, wzięta jest z wypadków rzeczywistych, Wierzymy temu tem łatwiéj, że przeprowadzona w powieści nie traci cech naturalności, nie jest przerobiona artystycznie. Szuler (*Solski*) trudni się szacherkami zarówno w grze jak i w miłości (z *Emiliją Prachnicką*, którą uwiódł), spotkała go naturalnie kara, tak jak i jego spólnika Czarnego barona. Emilija przyjęta przez starą pannę (*Stojałowską*), która przez lat trzydzieści procesowała się z rodziną i nakoniec szczęśliwym nagrodzoną została losem, nie mogła wrócić do dawniejszéj swobody wesołości i umarła. Panna Stojałowska wyszła za mąż za takiego samego jak ona oryginała, którego kochała stale od lat trzydziestu i była przezeń kochaną. Sama ta treść może dać miarę małéj wartości psychologicznéj Szkiców, jako na awanturach tylko i wyjątkowych położeniach osnuta, strona zaś artystyczna jest bardzo zaniedbaną. Autor nie okazał tu ani żywości wyobraźni, ani wielkich zalet stylu; był tylko dosyć suchym kronikarzem.

P. Ch.

Odpowiedzi od Redakcyi.

— *Pani K. J. Bieło... w Bogusławiu gub. Kijowskiéj.* Kalendarz wysłany, za przesyłkę należy się nam jeszcze kop. 12.

— *Panu J. Z. w Lublinie.* Dalszy ciąg powieści „Dziesięcioletnia podróż po Wschodzie” *Pietraszewskiego* — damy zaraz po ukończeniu drukującéj się obecnie w dodatku powieści Bełcikowskiego „Dług Honorowy.” Początek podróży wszyscy nowi pp. prenumeratorzy otrzymają bezpłatnie.

— *Pannie Maryi Antoninie* Powiastka „Gaston de Foix” drukowaną nie będzie.

ZAGADNIENIA.

— *Pannie Stanisławie R.* Nadesłane rozwiązanie niedokładne, choć w samych obliczeniach nie ma żadnego błędu. Niedokładność pochodziła tylko z liczenia ryzy papieru po 500 arkuszy zamiast po 480—i z tego, że zamiast przyjąć w rachubę koszt 12 tylko arkuszy druku, z jakich składa się każdy egzemplarz, liczyłaś Pani po 10 rs., wszystkie 9,600 arkuszy stanowiących cały nakład. Z tego powodu cena egzemplarza musiała wypaść za wysoka.

Inne odpowiedzi i nowe zagadnienia podamy w następnym numerze.

Sprostowanie. W zeszłym numerze, w artykule „Gry hazardowne i niehazardowne na str. 122, szp. 3-ej zamiast: „zakazy usuwają przyczyny gry, mając pretensyę do usunięcia jéj skutków, co w zasadzie nie jest fałszywem—powinno być: „zakazy *nie usuwają* przyczyny gry i t. d., co w zasadzie *jest fałszywem*.”

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. **Redaktor**, Henryk Perzyński.

☞ Patrz Dodatek.